*Barbara Kosmowska, Panna Foch plus minus 16 (1)*

– Żegnaj, Warszawo – szepnął wzniośle tata do bocznych lusterek samochodu. Był to szept szczęśliwego człowieka, który po latach tułaczki odnalazł wreszcie swój dom. Niestety, wiedziałam, że zrobił to głównie dla siebie i mamy. Bo reszta rodziny, czyli bliźniaki, ja oraz Czarny Kieł, traciła właśnie wygodne mieszkanie na parterze, czego nikt z nami nie ustalał.

Przed przeprowadzką umieściłam w swoim dzienniku listę pretensji na dwie strony. Zostawiałam zeszyt w widocznych miejscach z nadzieją, że rodzice przeczytają. Ale gdzie tam! Jesteśmy, o zgrozo, kulturalną rodziną. Nikt nie zajrzy do czyjejś korespondencji. Pełna dyskrecja! Dlatego mama lub tata co chwilę wpadali z tym zeszytem do mojego pokoju.

– Kochanie, twoje sekrety! – Mama mrugała porozumiewawczo i z szacunkiem kładła dziennik na biurku.

Zaledwie raz zajrzano do środka. A to „zajrzenie” odbyło się za sprawą bliźniaków, które, jak wszyscy analfabeci, wypowiedziały się w formie plastycznej.

– Zobacz, nalamowałem dom! Czekoladowy! – pochwalił się mój czteroletni brat, z dumą pokazując tłuste bazgroły.

– A te kwiatki są z ptasiego mleczka! Możesz sobie lizać, jak ci będzie smutno – serdecznie doradził mi jego klon, który z niezrozumiałych powodów urodził się dziewczynką.

Moje trzy najważniejsze pretensje nie trafiły więc na wrażliwych czytelników. W związku z czym nikt nie wie, że:

Przeprowadzka bywa dla wielu osób (w tym mojej osoby) traumą, która może położyć się cieniem na całym okresie dorastania. (Z grzeczności nie przepisałam z artykułu w gazecie tych wszystkich strasznych rzeczy, które już wkrótce zacznę robić).

Nie przesadza się starych drzew. (Tak mówi nasz sąsiad emeryt, pan Libuszek. A ja uważam, że te młode również są pod ochroną).

Jest to (decyzja o wyjeździe) niepoważne traktowanie młodego człowieka, gdyż wyrywa się go ze środowiska naturalnego oraz szkoły na dobrym poziomie. Co oznacza, że w przyszłości mogę nie zostać, jak planuję, lekarzem, a na przykład dentystą, czego bardzo bym nie chciała, ponieważ jestem ambitna. (Ten punkt mógłby zaboleć mamę, ale cóż, ona od zawsze marzyła, żeby dłubać ludziom w zębach).

Opuszczaliśmy miasto w milczeniu. Moje milczenie było wyrazem niemego protestu. No dobra, trochę chodziło też o to, żeby nie obudzić śpiących bliźniaków. Milczenie bliźniaków potwierdzało, że śpią. Mama marzyła, a tata trwał w pożegnalnym zachwycie. Nie przyszło mu do głowy, że uczynił z nas wygnańców.

– Jesteśmy wygnańcami, tato! – westchnęłam oskarżycielsko, gdy w tylnej szybie samochodu zgasła ostatnia latarnia Warszawy.

– Szczęściarzami, kochanie! – niemal odkrzyknął, ryzykując, że obudzi bliźnięta.

Odpuściłam awanturę. W przeciwieństwie do taty zrobiłabym wszystko, aby spały przez następny rok.

Znów westchnęłam. Wolałam zostać w mieście, niż tęsknić za moją utraconą klasą. Za pokojem z widokiem na ulubiony trawnik Czarnego Kła. No i za panem Dzidkiem Libuszkiem, którego wszyscy kochamy. Poza tym nie znoszę dużych zmian. Ale z drugiej strony – może coś się wreszcie wydarzy? Coś, o czym zapewniali mnie rodzice, powtarzając do znudzenia: „Bę-dzie nam cu-dow-nie!”.

Zastanawiała mnie ta liczba mnoga. „Nam”, czyli komu? Całej rodzinie czy tylko rodzicom? Obawiam się, że wyłącznie im. Mamie, która oddała ciotce Lusi wszystkie buty na szpilkach z taką miną, jakby ratowała zagrożone gatunki zwierząt. I tacie, bo to był jego pomysł: rzucić uczelnię, aby w domowych warunkach wyhodować jakąś cud-fasolę.

Wszyscy wokół mają w miarę normalnych ojców: inżynierów, kierowców, panów z biura albo z fabryki. A mój jak na złość musiał wybrać taki zawód, że nie wiadomo, co mówić ludziom! Niby jest hodowcą fasoli. Ale jakby trochę na wyrost, gdyż dotąd hodował ją za pomocą różnych książek i wykładów. Teraz chce to robić osobiście, więc już nie wiem, czy wciąż jest tym samym doktorem od fasoli, czy raczej rolnikiem. Mama upiera się, że odkrywcą, ale przecież fasolę wynaleziono dawno temu! Wprawdzie tata próbuje wynaleźć swoją własną odmianę, tylko nie wiem po co. Fasola nie zasługuje na to, by ją wiecznie rozmnażać! Co innego czekolada albo czipsy. Choćby fasolowe. Gdyby tata zajął się taką produkcją, zyskałby rozgłos i uznanie. Przynajmniej wśród moich znajomych…

I wcale nie jestem naburmuszona, jak usiłuje wmówić mi mama! Ja po prostu mam obawy, że dorośli czasem nie ogarniają świata!

Powiedzcie sami. Czy naprawdę muszę zamieszkać na wsi, żeby pić mleko lub zajadać się świeżym twarogiem? Albo warzywa… Te kupowane na rynku są przecież ze wsi! Jajka też! Usmarowane wiadomo czym. Trzeba je myć, żeby nie były jak pieluchy bliźniaków sprzed dwóch lat… Więc tak sobie myślę, że skoro wieś bez problemu przyjeżdża do nas, nie ma powodu, byśmy to my przenosili się do jakiejś dziury na końcu kosmosu. A tę nieszczęsną fasolę to tata mógłby uprawiać na balkonie. Nawet na parapecie w moim pokoju… Byle nie przesłaniała chodnika, po którym spaceruje modny Julek. Raz nawet popatrywał w moje okno…

Ech… Julka też stracę z oczu. I to teraz, gdy wreszcie zauważył, że mieszkamy w tym samym bloku. Zwierzyłam się Kindze, że spojrzał na mnie przeciągle, kiedy byłam na dworze z Czarnym Kłem. Zdaniem Kingi mógł spojrzeć na Kła w obawie o nogawki swoich dżinsów. Nawet jeśli tak było, nic nie szkodzi, miał prawo się bać! Dżinsy Julka są przecież czadowe. Wszystkie dziewczyny z naszej klasy to potwierdzą.

Co do Kła, dziwię się, że mój piękny pies budzi tyle strachu, zwłaszcza wśród kolegów. Omijają nas szerokim łukiem, co może spowodować, że zostanę kiedyś starą panną. Nie żeby mi to przeszkadzało. Ciotka Lusia jest bardzo starą panną, bo ma już trzydzieści dwa lata, a mimo to całkiem ładnie wygląda. Wprawdzie wuj Antek lubi mawiać: „Sezon mija, a Lusia niczyja”, ale to się nie liczy, gdyż on także jest nadal do wzięcia.

A co do Julka… Gdy pierwszy raz zawiesił na mnie wzrok, Czarny Kieł jak na złość akurat postanowił zrobić kupę. Prawie zemdlałam na myśl, że Julek zawsze będzie mnie kojarzył z kupą Kła i z tym, jak ją wkładam do specjalnego woreczka. Niby nie można się wstydzić swoich przyjaciół, jednak fajnie by było, gdyby przyjaciele robili kupę bardziej… czy ja wiem? Dyskretnie? Julek się wtedy śmiał. Do dziś nie mam pojęcia, czy do mnie, czy ze mnie…

Posmutniałam na myśl, że już nie zobaczę, jak starannie omija kałuże w nówkach adidasach. Na pocieszenie musi mi wystarczyć dom, do którego się przeprowadzamy. Podobno jest całkiem niezły, dużo lepszy od dawnego mieszkania. Mój pokój, jak powiedziała mama, ma okna wychodzące na las i małe jeziorko, a co najważniejsze, znajduje się na samym końcu korytarza, więc po raz pierwszy w życiu nie będę sąsiadką bliźniaków. Tej radości nie zrozumie nikt, kto nie dorobił się bliźniąt. Bo Groszek i Fasolka, jak je nazywamy, są najstraszliwszą mutacją w hodowli taty. Razem mają osiem lat, mówią raz jak chłopcy, innym razem jak dziewczynki. W dodatku w duecie albo na zmianę. Ostatnio powtarzają w kółko:

– Będziemy mieszkały w nowym domu!

– Będziemy uprawiali jarzywa!

– Będziemy gotowały zupę jarzywną!

– A Bobik ją zje! – dodają zgodnym chórem.

Bobik to, niestety, ja. I choć nie pozwalam tak na siebie mówić, wszyscy w mojej rodzinie bobikują w zaparte. Udaję się więc w nieznane z odrobiną nadziei, że wreszcie odzyskam swoje imię. Trudno. Będę mieszkać w fasolowym raju, słuchać, jak mama za ścianą zadręcza pacjentów, ale stanę się zwyczajną Polą. W każdym razie na drzwiach mojego pokoju zawiśnie odpowiednie przypomnienie.

– Koniec z Bobikiem! – ogłosiłam w samochodzie z nagłą odwagą. Ale poza fałszywie nucącym coś tatą, wszyscy już spali.

*Dziennik Janka Muzykanta*

*Dzieje się ostatnio, dlatego zaniedbałem pisanie. Dziś też mam mało czasu, więc nie wrzucę tekstu piosenki (leży w szufladzie w pełnym rozkładzie) i słowem nie wspomnę o trzech nowych pryszczach.*

*Zmieniam temat. Zmiana tematu ma około pięćdziesięciu kilogramów, dużą ilość prześlicznych piegów i nos na kwintę. Jest dziełem doktora i pani Doroty, u których dorabiam, pracując przy zakładaniu „naukowego ogrodu”.*

*Rodzice tej ponurej panny wspomnieli mi wprawdzie o swoich trzech „dziełach”, zapomnieli jednak dodać, że cieplarniana Panna Foch ma muchy w nosie i ani trochę nie przypomina ich samych – sympatycznych i pogodnych ludzi. Za to dwutomowe wydanie o wdzięcznych tytułach Fasolka i Groszek to prawdziwy hit sezonu! Bliźniaki są zabawne i staną się w Wiśniowej Górze główną atrakcją lata. Tego jestem pewien.*

*Wiecznie niezadowolona Panna Foch też mnie bawi. Jest przekonana, że urodziłem się z łopatą. I głównie po to, aby jej przeszkadzać.*

*Tak się składa, że zajmuję się teraz wyłącznie przeszkadzaniem, bo pracuję do późnego wieczora. Dzięki temu spłaciłem nasze długi w sklepie i uwaga: mam kaskę na bilet do Wawy! Może zimą pojadę na przesłuchanie? Mojej eM bardzo na tym zależy. Kiedy czuje się lepiej, zawsze prosi, żebym to zrobił.*

*Mam pomysł na następną piosenkę. Natchnęła mnie właśnie Panna Foch. Byłaby to ballada o dziewczynie, która widzi tylko to, co chce zobaczyć. Może kiedyś ułożę na ten temat parę zwrotek.*

*Aha, jeszcze coś o nowych mieszkańcach Wiśniowej Góry. Wczoraj bliźnięta uganiały się na czworakach za psem o wdzięcznym imieniu Czarny Kieł. Nic szczególnego, wiem. Dzieciaki znajdują tysiące powodów, żeby się wytarzać w błocie. Ale one robiły to w innym celu. Chciały ustalić, czy wygodniej jest biegać na czterech nogach, czy raczej na dwóch. No i rozpacz, bo odkryły, że na czterech ,,kolą wszystkie bości”. Uspokoiły się dopiero, gdy je zapewniłem, że każdy z nas chodzi, jak mu najwygodniej. Psy też.*

*Dlaczego o tym piszę? Bo niby takie maluchy, a zadały sobie wiele trudu, by zrozumieć psie życie. Pomyślałem, że po tym poznaje się prawdziwych przyjaciół – kiedy ktoś choćby przez chwilę chce dzielić twój los, aby cię lepiej zrozumieć.*

*Ale się wymądrzyłem! Na dziś to wszystko.*

*PS Może ja też spróbuję zrozumieć skwaszoną Pannę Foch?*

– Ty jesteś Bobik? – zapytała mnie dziewczyna z sąsiedztwa. Przyniosła koszyk pełen nabiału.

– Mam na imię Pola – wyjaśniłam bez uśmiechu, ale natychmiast wyrosła przed nami mama, witając ją jak starą znajomą.

– Aniu kochana! Dziękujemy! Poznaj Bobika! To właśnie Bobik, o której ci mówiłam! Bobiku, dobra wiadomość! Ania jest naszą sąsiadką!

Z mamy wykrzykników rósł płot mojej wrogości. Jeszcze kilka jej ochów, a zacznę warczeć niczym Kieł.

– Przyszedłaś do nas?

– Czy do Bobika? – Bliźniaki już wisiały na tej całej Ani. Czarny Kieł czule ją obwąchiwał. A tata obwąchiwał przyniesione skarby.

– Cudowności! – Wykazywał taki entuzjazm, jakby w koszyku znalazł samą fasolę.

Na szczęście Ania okazała się całkiem do rzeczy.

Najpierw się ucieszyła, że dołączę do jej klasy. Potem zapytała, czy może chodzić na spacery z bliźniakami. Nie ma rodzeństwa, a lubi dzieci. Też lubiłam, kiedy nie miałam rodzeństwa! A wreszcie doszła do wniosku, że Pola to fajne imię, ładniejsze od bobu, nawet gdyby bób był różą.

Spodobała mi się. Bliźniakom też. Przykleiły się do niej jak do miodu.

– Będziemy cię woziły naszą kaczką!

– Taczką – wyjaśniłam zdumionej Ani.

– I razem sadzili barbary!

– Rabarbary – sprostowałam.

– A w naszym pokoju wolno dłubać w nosie – oświadczyła Fasolka.

– Ale każdemu w swoim – zaznaczył Groszek, zanim znowu uwiesił się na nowej znajomej.

Ania wydawała się tymi planami wniebowzięta. Zresztą wszyscy poza mną byli wniebowzięci, a mamie to nawet tak zostało do następnego dnia.

– No i jak ci się tu podoba? – spytała rano.

Wodziła zachwyconym wzrokiem po pustym wnętrzu. Trwający remont wcale nie dodawał mu uroku.

– Tu? – Omiotłam przerażonym spojrzeniem łyse ściany i podłogę, którą bliźniaki smarowały właśnie kolorową farbą. Wreszcie spojrzałam na zaróżowioną z przejęcia mamę, próbując odgadnąć, co może jej się podobać w tym smutnym domu.

Ale ona najwyraźniej widziała coś innego niż ja.

– Pomyśl, Bobiku! Jakie to szczęście! Mamy własny kąt, własne podwórko, prawdziwy las za płotem, siebie… – Potoczyła po nas rozkochanym wzrokiem i… zachwyt trochę z niej spłynął.

A to dlatego, że Groszek był (zgodnie z naturą tego warzywa) w seledynowej tonacji, a Fasolka przypominała buraczane purée. Nie muszę chyba dodawać, że również podłoga wyglądała jak talerz z rozgotowanymi burakami, w które ktoś powciskał rozdeptany groch.

– Spokojnie – szepnęła mama do siebie. – Tylko spokojnie. One są po prostu kreatywne… Tworzą własną przestrzeń. Muszę to uszanować…

– Czy kreatywne oznacza to samo co nieznośne? – zapytałam, ale darowałam sobie dalsze złośliwości.

Zwłaszcza że na środek kuchni wypadł uradowany Czarny Kieł. Już nie taki czarny. Trudno powiedzieć, gdzie znalazł puszkę z białą farbą, ale musiał zanurzyć w niej ogon, bo znaczył nim jak pędzlem nowe terytorium.

– Spokojnie, mamo – przypomniałam. – On też jest kreatywny!

Zostawiłam swoją utalentowaną rodzinę przy wannie z gorącą kąpielą. Podniosłam jeden z kartonów z napisem „Pola” i pomaszerowałam z nim na górę.

Pokój, w którym miałam zamieszkać, był już niemal umeblowany. Wielkie lustro rozparło się na bocznej ścianie. Bez niego nie wyjechałabym z Warszawy. Jest pamiątką po babci Helenie. Wszyscy w rodzinie do dziś wzdychają, że ładniejszej kobiety stolica nie widziała. Zdaniem wuja Antka stolica w ogóle nie widziała babci Heleny. Ciotka Lusia też przebąkuje, że babcia Helena nie opuściła na krok swojego wiejskiego obejścia, taka była tchórzliwa. Ponoć miała także lekkiego zeza, ale na zdjęciach go nie widać. Sama już nie wiem, czy warto na zapas cieszyć się tym „wypisz wymaluj babka Hela!”, które często słyszę.

Po południu lało, więc otworzyłam dziennik.

*Zerkam w lustro i myślę z niepokojem, że na razie wdałam się nie tyle w babcię, ile w skocznię narciarską – pisałam szczerze do bólu. – Mam wysokie czoło i zadarty nos, po którym Kamil Stoch mógłby wzbijać się w przestworza. Liczę na to, że kiedyś lustro zmieni zdanie i wreszcie zobaczę w nim rodzinną piękność. Na razie odbija moją skrzywioną minę. Chyba że akurat patrzę na plakat z moim jedynym współlokatorem, Jasonem Barberem. Wtedy wyglądam na osobę niezmiernie szczęśliwą.*

Tak naprawdę poza Jasonem głównym wisi na ścianie jeszcze dwóch pomniejszych. Najchętniej wytapetowałabym Jasonami cały dom, ale muszę z ubolewaniem wyznać, że poza mną nikt tu nie docenia tego artysty.

Przed przeprowadzką spisałam z rodzicami umowę: przeprowadzka w zamian za dwa koncerty w semestrze. Tata próbował ściemniać i ograniczyć moje muzyczne życie do jednego. Z oburzeniem zaproponowałam więc inną umowę: ja zaliczam jeden koncert, a on sadzi jedną fasolę. Natychmiast podpisał się pod dwoma wyjazdami. Kinga będzie zachwycona!

Kinga to moja przyjaciółka, bo to z nią najczęściej się kłócę i najszybciej godzę. Gdy parę miesięcy temu powiedziałam jej o przeprowadzce, popłakała się ze współczucia.

Wzruszona, wytłumaczyłam Kindze, że niepotrzebnie tak cierpi. Będę bywała w Warszawie, a ona wpadnie do mnie, na wieś.

– Ja na wieś? – Pobladła ze zgrozy. – Przenigdy! Normalni ludzie nie wyjeżdżają ze stolicy!

Przypomniałam jej, trochę złośliwie, że jest normalna zaledwie od roku, bo zanim przeprowadziła się na Białołękę, też mieszkała w podwarszawskiej dziurze.

– A poza tym – prychnęłam – to nieprawda, że wszyscy chcą tutaj… Na przykład moi rodzice…

– No właśnie, całkiem im odbiło! – przerwała mi z przerażeniem. – Bardzo mi ciebie żal – dodała, ścierając niewidzialną łzę z kącika oka.

Dlatego dzisiaj skrobnęłam jej szybkiego maila, że jest super. Zrobiłam kilka zdjęć plakatom z Jasonem i pięknemu widokowi za oknem, tak żeby było widać jeziorko. Dołączyłam fotki do listu i dalej w drogę! Niech Kinga zobaczy, jak mieszkam.

Odpisała w kilku zdaniach: „Ojej! Przechlapne! Ten staw tak blisko ze zjedzą cię komry! Sorki, piszę krótk, bo właśnie lecimy na szafing! Potem konc. Jasona! Szkoda, że cię nie bdzie. Na szczęście możesz na niego popatrzeć. ☺ PS Te zdjęcia są już stre. PS2 Julk też z nami idzie. Nawet się obciął na Barbra! Nieziemsko wygląda, to pa!”.

– To pa – szepnęłam i nagle zaszło słońce. Błoto za oknem już nie lśniło jak ocean, las poszarzał, a krzyki w naszym domu stały się nie do wytrzymania.

– Ciszej tam! – wrzasnęłam z góry.

A kiedy przyszłam zachmurzona do kuchni, dwóch młodocianych malarzy spojrzało na mnie ze zdziwieniem. Trudno. W mojej umowie z rodzicami nie ma zapisu, że zawsze będę zachwycona…

Następnego dnia z samego rana wpadła Ania.

– Zbieraj się! – rzuciła wesoło od drzwi. – Wywalczyłam wolny dzień, żeby ci pokazać Wiśniową Górę. I weź strój kąpielowy – dodała tajemniczo. – Może nam się przyda.

Po co strój, skoro tu nie ma basenu – myślałam, smętnie wlokąc się za Anką.

Zaczęłyśmy zwiedzanie okolicy od wejścia na najwyższe wzgórze. Gdy spojrzałam w dół, wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż z okien mojego pokoju. Korony drzew próbowały ukryć srebrne kleksy jezior i żółte pola w dolinie. Ania pokazała mi miejsce, z którego roztaczał się widok, jaki można zobaczyć tylko na zagranicznych widokówkach.

– Kurczę! – jęknęłam olśniona, robiąc serię szybkich zdjęć. – Muszę koniecznie wysłać fotki Kindze! Czy ja tu naprawdę mieszkam? – upewniałam się, patrząc na mój nowy świat, zatopiony w jasnym słonecznym blasku.

– Miałaś rację. To wyjątkowe miejsce – odpowiedziałam na triumfujące spojrzenie Anki, gdy dotarłyśmy do celu naszej wędrówki, jeziora Kryształ. Było dużo większe niż to widziane z okien mojego pokoju. Miało prawdziwą plażę i pomost wchodzący głęboko w ciemną taflę wody.

1. Opisz w 5 zdaniach, o czym jest to opowiadanie.
2. Wyjaśnij, kto jest kim w tekście.
3. Napisz w punktach plan tego opowiadania.

Za tydzień ciąg dalszy.